

Krystyna Janda: – Moją wizytówką jest rola Agnieszki w „Człowieku z marmuru”. To obraz, który mi ciągle pomaga

665 Powiew tajemnicy

Jest absolwentką warszawskiej PWST. Na czwartym roku debiutowała rolą Iriny w „Trzech siostrach” Czechowa w Teatrze Telewizji. Przez 12 lat związana była z Teatrem Ateneum, od 1987 r. jest aktorką Teatru Powszechnego w Warszawie. Każde jej pojawienie się na scenie i ekranie wzbudza emocje. Jest aktorką kontrowersyjną. Nigdy nie pozostawia widza obojętnym. Ma swoich zdeklarowanych przeciwników i zagorzałych wielbicieli. Przedstawienia z jej udziałem biją rekordy powodzenia. W teatrze i na planie filmowym pracuje z najwybitniejszymi reżyserami. Wystąpiła w blisko 50 filmach. Zagrała ponad 50 ról teatralnych, również w telewizji. Debiutując jako reżyser filmowy kończy realizację filmu „Pestka” według powieści Anki Kowalskiej.

*** Każdy aktor musi siebie wymyślić i wykreować. Czy w pani karierze był to zbieg okoliczności, przypadek, czy też zmuszona praca?**

– Pracuję w tym zawodzie już dwadzieścia lat i jeżeli mówimy o formowaniu mojego wizerunku, o który oczywiście bardzo dbam, to trwa dokładnie tyle lat. Moją wizytówką, moim stereotypowym obrazem jest rola Agnieszki w „Człowieku z marmuru”. To obraz, który mi ciągle pomaga, i z którym przede wszystkim kojarzę się w świecie. Zbliżyłam się do pełnej setki ról, które zagrałam, i ci, którzy znają je i przychodzą do teatru na moje nowe premiery, wiedzą, że mój wizerunek jest bardzo różnorodny. Mam nadzieję, że nie można mnie jednoznacznie określić.

*** Bardzo starannie dobiera pani repertuar. Jakim kluczem kieruje się pani wybierając dla siebie role?**

– Przede wszystkim to musi być materiał na rolę, to znaczy na zbudowanie pełnej postaci, która mnie zainteresuje. Szukam ciągle nowych rzeczy, których nie robiłam, które mogą wnieść coś nowego do mojego wizerunku. Mogłabym odcinać kupony od „Człowieka z marmuru” czy „Edukacji Rity”, ale w pracy interesuje mnie różnorodność. Dlatego nie nudzę się, a granie nie jest tylko sposobem na zarabianie pieniędzy.

*** Na swój debiut reżysera teatralnego wybrała pani śpiewogrę Ernesta Brylla „Na szkle malowane”, utwór bardzo ograny w latach siedemdziesiątych.**

– Uważam, że jest cudowny. Wyrósł już pokolenia, które go nie znają. W trakcie pracy sprawdziło się i okazało, że jest to utwór, który cieszy i bawi. Poza wszystkim wybrałam „Na szkle malowane”, ponieważ chciałam zrobić radosne przedstawienie oparte na polskim tekście i polskich tradycjach. Na scenie grupa ludzi bawi się, tańczy, śpiewa i o nic więcej nie chodzi. I udało się. Publiczność śpiewa i bawi się razem z nami. Przychodzi bardzo dużo młodzieży. Bisy trwają często tyle, ile ostatni akt. Myślę, że miałam tzw. nosa. Bawimy się wszyscy, na scenie i na widowni tą radością, która jest naszą i tematami, które są nam bliskie. Libretto jest nadzwyczajne. Do dzisiaj tekst błyszczy pięknym wierszem. To jest przedstawienie o afirmacji życia i miłości. Publiczność potrzebowała przedstawienia, które dawało jej tyle radości.

*** Aktorstwo to rzemiosło, emocje czy metafizyka?**

– Wszystko zebrane razem. Jeśli ktoś posiada naturalne predyspozycje do uprawiania zawodu: dobry głos, świetną dykcję, można nauczyć go rzemiosła, bo formy można nauczyć. Ale uważam, że nie można uprawiać

tego zawodu bez emocji. Najważniejsze jest to, co siedzi w człowieku, co ma się do powiedzenia, kim się jest. Tego nie można nauczyć, z tym się człowiek rodzi albo dochodzi do tego sam. Wielcy aktorzy mają moc i umiejętność perfekcyjnego panowania nad publicznością. Potrafią narzucać jej emocje. Różnie to nazywają. Charizmą, intuicją, inni talentem. Zdarza

się tak, że w pewnym momencie nie wiadomo dlaczego, ktoś gra tak, a nie inaczej. Obok bardzo precyzyjnie zbudowanej roli, pojawia się nagle powiew, którego nikt nie mógł przewidzieć i wyliczyć: to wielka tajemnica tego zawodu.

*** Czy zdecydowałyby się pani uczyć młodych ludzi zawodu w szkole teatralnej?**



– Uczylam przez rok w Warszawie, ale nikt mi nie zaproponował przedłużenia kontraktu. Myślę, że nie byłam najlepszym nauczycielem. Chociaż młodzież mnie bardzo lubiła, ale polegało to na czymś innym.

*** Czy zdarzyło się pani zachwycić jakimś przedstawieniem?**

– Zdarzyło mi się tak dwa razy w życiu. Przed laty, jeszcze wtedy w Leningradzie, widziałam spektakl z wielkim aktorem radzieckim Jurskim, który grał Moliera w sztuce Bułhakowa. Byłam porażona i zachwycona. Wiedziałem, że czegoś takiego już nigdy nie zobaczę i nie przeżyję. Natomiast na festiwalu w Spoleto oglądałam „Carmen” i tańczącego Antonio Gadesa. Myślałam, że oszałeję z zachwyty.

*** Pani największe fascynacje literackie.**

– Staram się zawsze dokumentować wszystko, co się zdarza, bo to jest mój obowiązek. Jednak takie pytania mnie peszą. To zależy od momentu, w którym jestem. Na pewno na bezludną wyspę zabrałabym z sobą „W poszukiwaniu straconego czasu” Prousta. Natomiast dzięki swoim dzieciom zaczęłam jakby życie od początku. Na nowo odkryłam wielką urodę „Dzieci z Bulerbyn” czy „Piotrusia Pana” czytając je z nimi. Nie spodziewałam się, że te powroty sprawią mi tak wielką przyjemność.

*** Bardzo często wyjeżdża pani ze swoimi przedstawieniami w Polskę, docierając w najdalsze miejsca. Czym są dla pani te wyjazdy**

– Wszyscy mnie o to pytają. Rzeczywiście jeżdżę dużo. Przez pewien czas nie ruszałam się z Warszawy ze względu na małe dzieci. Bardzo lubię te podróże. Naprawdę lubię jeździć i grać po dwa przedstawienia dziennie. Lubię spotykać się z publicznością niewarszawską, która przyjmuje mnie inaczej. Lubię pracować w swoim zawodzie i uważam, że każdy wysiłek opłaca się. Nigdy siebie nie oszczędzałam. Żyję do końca i pracuję do końca. Nie potrafię inaczej.

*** Dziękuję za rozmowę
Rozmawiał ANDRZEJ WILGOSZ**

(wywiad autoryzowany)